

Spotkania po 20 latach

Wolność przybyła na czołgach

28 lipca 1944 roku o godzinie 22 stolica Kraju Rad 20 salwami z 224 dział salutowała wyzwolenie spod hitlerowskiej okupacji miast: Jarosławia i Przemysła. W kilka miesięcy później znów zabrzmiało w Moskwie 20 takich salw witających oswobodzenie dwu innych miast województwa rzeszowskiego. Było to 19 stycznia 1945 roku, a miasta owe to Jasło i Gorlice.

Te lipcowe i styczniowe salwy były jakby kłamrą spinającą początek i zakończenie walk Armii Radzieckiej na terenie dzisiejszej Rzeszowszczyzny, walk, które przyniosły nam wolność. W lecie ubr. publikowaliśmy cykl materiałów o ich przebiegu. Obecnie w 20. rocznicę pełnego oswobodzenia naszego województwa od hitlerowców chcemy przedstawić Czytelnikom niektórych uczestników walk o nasze wyzwolenie.

„Na zachód od Rawy Ruskiej nasze wojska, rozwijając z powodzeniem natarcie opanowały... miasta Lubaczów, Niemirów, Magierów i Horyniec, a także zajęły w walkach ponad 150 innych miejscowości, w tej liczbie Cieszanów, Dachnów, Oleszyce, Łukawiec i stacje kolejowe Dziewięcierz, Horyniec, Basznia, Basznia Dolna, Lubaczów, Oleszyce”.

„Wojska 1 Frontu Ukraińskiego sforsowały rzekę San przerwały obronę przeciwnika i w rezultacie manewru obejścia opanowały miasto i twierdzę Przemysł oraz miasto Jarosław. W walkach tych wyróżnili się czołgiści gen. płk Rybalko, gen. lt. wojsk pancernych Hetmana, gen. mjr wojsk pancernych Anikuszina...”.

Dalsze czytanie uzyskanych z redakcji gazety „Krasnaja Zwiezda” komunikatów sprzed 20 lat przerwał mi dzwonek telefonu. Dzwonił tow. Piwowar z naszej ambasady (rzeszowski rodak z Bielin w pow. niżańskim), zawiadamiając, że po południu mogę się spotkać z marszałkiem Katukowem. Marszałek przebywał wprawdzie w swoim domu pod Moskwą, ale właśnie jedzie tam samochód i mogę się zabrać.

Lepszej wiadomości nikt nie mógł mi dostarczyć! Katukow! Toż właśnie przed chwilą czytałem jego nazwisko! Pamięć pośpiesznie przywołała na myśl wszystko, co o nim wiedziałem. A więc, że dwukrotnie



Marszałek MICHAŁ J. KATUKOW

bohater Związku Radzieckiego; że od 1919 roku w armii; że nazwisko jego często spotkać można w materiałach dotyczących II wojny światowej. To on w październiku 1941 roku, dowodząc brygadą czołgów, stawiał czoła i to skutecznie kilkudziesięciu grupie najsłynniejszego hitlerowskiego asa od broni pancernych — Guderiana. Sytuacja była wówczas ciężka. Niemcy parli na Moskwę i zdawało się, że

lada dzień ją osiągną. Guderian nacierał od południa wzdłuż osi Orzeł — Tuła — Moskwa. 50. armia radziecka broniąca tego odcinka była mocno wyczerpana walkami, jej sztab silnie zbombardowany utracił łączność z frontem. 24. korpus pancerny z grupy Guderiana zajął Orzeł i rwał na Tułę. I właśnie w tym marszu pod Mceńskiem zagradza mu drogę 4. brygada pancerna, która dowodzi pułkownik Michał Jefimowicz Katukow. Jego czołgi silnym ogniem zaskakują przeciwnika, niszczą wiele nieprzyjacielskich maszyn. Część hitlerowskich wozów cofa się, inne próbują obejścia, ale krótkie lecz silne ataki czołgów Katukowa zmuszają Niemców do rezygnacji z tego zamiaru. Opór 4. brygady pancernych i 11. brygady nie tylko przyczynił hitlerowcom wielu strat, ale przede wszystkim opóźnił tempo ich marszu, dając dowództwu radzieckiemu czas na podciągnięcie nowych sił. Sam Guderian musiał przyznać potem, że właśnie te dni walk sprawiły, iż „zniknęły perspektywy na szybki i ciągły sukces”. Hitlerowskie zęby pancerne wyszczerzone przez radzieckich czołgistów nie mogły już potem ugryźć Tuły, której mimo zaciętych walk hitlerowcy nie zdołali zająć.

Wkrótce zresztą Niemcy musieli cofać się spod Moskwy, a Guderian pozbawiony został łask Führera i ukarany odwołaniem ze stanowiska. A przecież to był tylko jeden epizod z wojennej praktyki Michała Jefimowicza. Wołkołamsk, Biełgorod, Kursk oto dalsze rejon wojny związane także z jego nazwiskiem. Za walki pod Moskwą jego brygada otrzymuje miano gwardyjskiej, on sam awans na generała majora wojsk pancernych. Od 1943 roku dowodzi już armią pancerną. Jako dowódca 1 armii pancernych gwardii przybywa w 1944 roku na Rzeszowszczyznę.

Po południu czarny ZIM unosi nas w przepiękne, pełne brzozywych gajów poprzecinanych mnóstwem strumyków okolice podmoskiewskie. Pejzaż jak na obrazach starych rosyjskich mistrzów. Po blisko godzinie jazdy jesteśmy na miejscu. Gospodarz, który wró-

cił właśnie z połowu ryb (jest zapalonym wędkarzem) zarządza najpierw obiad, a później siadamy obaj nad mapą.

— Czołgi nasze — zaczyna marszałek Katukow — wdaryli się do Polski siłą rozpedu. I armia pancerna gwardii po przerwaniu frontu przez czołowe związki 1 Frontu Ukraińskiego weszła w wylom i na pełnych obrotach silników poszła naprzód. Tempo było niezwykle szybkie, 23 lipca podjeżdżamy pod Jarosław, gdzie urządziliśmy hitlerowcom małe kociołki. Czołgi obezły miasto z północy i południa, mocno przetrzepawszy jakąś szkołę podoficerską, która usiłowała stawić opór, ale później natknęły się na świeżo tu przerzuconą dywizję pancerną. Zawładł się bój na śmierć i życie, faszyści nie mieli w nim jednak żadnych szans. Nasze korpusy sforsowały San — Dremowa na północ od Jarosławia, Hetmana na południe od miasta. Hetman poszedł zaraz zresztą ze swoim 11. korpusem na Przemysł i wspólnie z wojskami gen. Rybalki wyzwolił ten piękny gród.

Jednocześnie wypędziliśmy hitlerowców z Jarosławia. By ocalić miasto specjalnie nie szturmowaliśmy go, mimo że most na Sanie nie był zburzony, zabroniliśmy także artyleryjskiego ostrzału miasta. Kilka pocisków spadło jedynie w rejonie dworca kolejowego.

— A potem?

— Potem dowódca 1 Frontu Ukraińskiego marszałek Koniew otrzymał z Naczelnego Dowództwa wiadomość, że można niespodziewanie uderzyć w kierunku Wisły w rejonie Sandomierza i uchwycić przyczółek na jej lewym brzegu. Zadanie miało wagę niezwykłą i realizować je należało błyskawicznie. Największą szybkością dysponowały wojska pancerne, toteż my właśnie w pierwszym rzędzie mieliśmy dotrzeć do Wisły. Zostawiliśmy Przemysł, Jarosław, i na pełnej szybkości pognaaliśmy przez Leżajsk — Jeżowe — Majdan — Dębę do Baranowa. Po drodze zmiażdżyliśmy jakąś jednostkę faszystowską, 29 lipca zaś sforsowaliśmy Wisłę z marszu, na czym kto mógł. Czołgi stały na prawym brzegu i waliły w ogniowe punkty przeciwnika, fizylierzy zaś byli już po tamtej stronie. Później promami przeprowadziliśmy czołgi, saperzy zbudowali most i wkrótce oba korpusy walczyły na przyczółku. Jednocześnie przeprowadzali się wojska 13. armii gen. Puchowa, a następnie czołgi gen. Rybalki.

Raptem sytuacja zaczęła się komplikować. Od Mielca ruszył hitlerowski kontratak (jak się okazało sam Hitler wszystkimi siłami dążył do likwidacji przyczółka). Nad moim punktem dowodzenia w Dębce zaczęły rwać się pociski. Nacierającym dwu dywizjom niemieckim mogłem przeciwstawić tylko 64. brygadę płk. Iwana Bojko i pułk motocyklistów. Już pierwszego dnia walk nasi spalili 16 niemieckich czołgów. Sytuacja była jednak nadal poważna. Do Dębki przybył marszałek Koniew, a wkrótce potem na Niemców idących spod Mielca uderzyła część wojsk gen. Rybalki i inne nasze oddziały. Jajednak byłem już sercem i duszą z moimi korpusami, które walczyły za Wisłą. Wreszcie uzyskałem zezwolenie i w 4 dniu bojów znalazłem się na przyczółku.

Nasi czołgiści bili się tam blisko miesiąc, a walki były niezwykle ciężkie. Wielu naszych żołnierzy zostało nad Wisłą na zawsze. Zginął tam m. in. dowódca brygady Koczur, który przyszedł do nas z partyzanckiego zgrupowania Werszyhory, ranny był inny dowódca brygady Babadżanian. W akcji bojowej pod Sandomierzem poległ nasz znakomity zwiadowca Podgorbuński, znany wam zapewne z książki Mikołaja Popieła „Czołgi zawróciły na zachód”.

Po czterech tygodniach bojów Niemcy musieli pogodzić się z myślą, że nie uda im się zlikwidować

В день 20-летия Освобождения Польши, братской страны, в честь Маршала ген. Сабелы М.И. Катюкова с благодарностью вспоминаю на территории Рzeszowskiej в г. Баранов. Уроженцу Польши и ветерану войны в Великой Отечественной войне. 11.12.64

W dniu 20-lecia wyzwolenia braterskiego kraju — Polski, wspominam okres walk z niemieckimi faszyzami na terytorium Polski z wdzięcznością dla polskiej ludności, u której spotykaliśmy się z braterską pomocą w rejonach miast Jarosław, Leżajsk, Baranów. Się braciom Polakom moje pozdrowienia, życząc powodzenia w budownictwie socjalizmu i rozwijaniu przyjaźni między nami.

Marszałek
Wojsk Pancernych
KATUKOW

przyczółka i 29 sierpnia nasza 1 armia pancerna gwardii przeprowadziła się znów na prawy brzeg Wisły, w Rzeszowskie, a następnie odeszła do Niemirowa.

Wkrótce potem gen. płk Mikołaj Birukow udekorował mnie złotą gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego.

— Jak towarzysz marszałek wspomina kontakty z polskim społeczeństwem podczas pobytu w województwie rzeszowskim?

— Niestety, szybkie tempo natarcia naszych wojsk i związanie z ciągłą akcją czynności dowódcze nie zostawiały mi wiele czasu na nawiązywanie kontaktów, ale spotkania z Polakami w Rzeszowskim wspominam bardzo mile. Już pierwsze z nich było wzruszające.

Kiedy walczyliśmy pod Jarosławiem, nagle zobaczyliśmy na polu walki wiele wozów konnych. To Polacy — kobiety i mężczyźni, samorzutnie, z własnej inicjatywy wyszli zbierać naszych rannych żołnierzy i odwozić ich na punkty opatunkowe. Nie muszę dodawać jakie wywarło to wrażenie na naszych pancerniakach. Wiedzieliśmy, że jesteśmy w kraju przyjaciół, o których wolność będziemy walczyć jak o swoją własną.

Wspominam niezwykle serdeczne powitanie zgotowane nam przez ludność polską na naszej trasie przemarszu do Wisły od Leżajska do Baranowa. Jechaliśmy nocą, ale wzdłuż drogi pozdrawiali nas tłumy ludzi. Potęga naszej armii, jej zmotoryzowanie, technika budziły podziw. Spodziewaliśmy się wszystkiego, ale nie sądziliśmy, że wolność przyjdzie do nas na radzieckich czołgach — powiedział jeden z witających nas Polaków. Na tyłu czołgach — dodał — obserwując nie kończąca się kolumnę pancernych maszyn.

W Baranowie ludność polska oddała nam nieocenioną pomoc przy forsowaniu Wisły. Pierwsi żoł-

(Ciąg dalszy na str. 4)



CEZARY KOTOWICZ — Podróż morską (tempera)

ALEKSANDER ZYGA

KORNEL UJEJSKI w Medyce

Egipt pod Aleksandrią,
2 XII 1857

„W tej chwili jestem na maleńkiej wyspce wśród Nilu nazwanej poetycznym językiem Arabów „Charum el palmar”, tj. wzięcie palm. Położyłem się na ziemi o kilka kroków od brzegu, rozłożyłem swoją podróżną tekę — a jako dobry żołnierz zawsze z bronią chodzący, wyjąłem z kieszeni kałamarnicę i pióro — i piszę do Was. Leżę na ziemi pod trzciną bambusową, której nadzwyczaj gęste liście, podobne do naszych wierzbowych, tylko dłuższe i większe, dają najmilsze schronienie rozkochanym parom gołębi egipskich (...). Wkoło mnie stoją gromadkami palmy kokosowe, zwane kamiennymi, „Gapidata” — stoją jak zwalonej świątyni kolumny, z ich wierzbów wystrzelili kity zielone, zapewne z nachnięciem poety, szumią nade mną i dziękują za czary.

A teraz Wam wytłumaczę, jakim sposobem we trzy tygodnie po moim ostatnim liście pisanym jeszcze z Medyki, odbieracie powtórną list już z Egiptu (...). Na drugi dzień po napisaniu ostatniego listu nadeszły oczekiwane pieniądze i tegoż samego dnia wyjechałem w podróż. Takie zimno moją duszę opanowało, że miałem jak opętany, szukając ciepła. W Wiedniu i w Wenecji zatrzymałem się tylko o tyle, aby się napić wódki. W Wenecji trafiłem na odchodzący statek do Aleksandrii. Zaambarkowałem się natychmiast. Statek pomyślnym wiatrem ósmego dnia dobił już celu. Od wczoraj jestem w Egipcie. Dziś oglądając obelisk Kleopatry, spotkałem pana N. ze Sanockiego, odebrał on list donoszący o niebezpiecznej słabości swego ojca, więc jutro ze światem odjeżdża (...). Pan N. nigdzie ani na chwilę nie zatrzyma się w drodze, jadąc na Przemysł, przyrzekł mi solennie oddać ten list na pocztę (...) — tak pisał Kornel Ujejski w liście do kuzynek panien Pokutyńskich w Perepelnikach nie z Egiptu, ale, jak zaznacza na końcu listu, z palmiarni medycejskiej.

Autor „Chorału” znalazł się tu w lipcu 1857 r. dzięki uczynności swego kolegi szkolnego, Mieczysława Pawlikowskiego, syna słynnego Gwalberta, który z Medyki w połowie XIX wieku uczynił prawdziwą oazę kultury. Zgromadził w tutejszej bibliotece wiele cennych starodruków, bogaty zbiór graficzny, założył jedną na tę skalę w kraju

oranżerię drzew egzotycznych, hodował cenne odmiany drzew owocowych i utrzymywał szkołę ogrodniczą. Dzięki usiłowaniu ojca i syna znana dotychczas z legendy o Jagiellach miejscowość, wedle której miał tutaj słuchać śpiewu słowików, przyjęła na siebie na lat kilkadziesiąt rolę, jaką wcześniej odgrywała w Galicji Sieniawa Czartoryskich. Mecenat artystyczny Pawlikowskich sprowadzał tu wielu artystów i pisarzy. Gościli tu tacy uczeni jak Aleksander Maciejowski, Kazimierz Wojcicki, w latach zaś 1855—1860 pałac i oranżeria Pawlikowskich w Medyce stały się swego rodzaju tusculem, do którego zdążyła z niedalekiego Lwowa ówczesna młodzież literacka.

Obok Ujejskiego częstymi gośćmi właściciela Medyki byli Mieczysław Romanowski, Ludwik Wolski, Platon Kostecki, Bruno Bielawski, Jan Dobrzański, stałym bibliotekarzem — znany historyk Henryk Schmitt.

Autor „Maratonu” znalazł się tu przypadkowo. Ożeniwszy się z hr. Henryką Komorowską, której rodzice byli przeciwni małżeństwu ich córki z ubogim poetą, otrzymał tylko w posagu dzierżawę Pawłowa, z którego jeszcze musiał płacić dość wysoki czynsz. Dumny i mający

swój honor poeta nie ugiął się przed okrutnym tęciem, za co ten wypędził go z dzierżawy. Niewiele pomogło wzięcie w dzierżawę Podlipiec. Pożycie małżeńskie z Komorowską z dnia na dzień stawało się gorsze, poeta postanowił rozjeść się ze swoją żoną, wzięwszy ze sobą synka Tonia. Poprzez pośrednika Ludwika Wolskiego znalazł tymczasowe schronienie w Medyce u młodego Pawlikowskiego, który przyjął go na mieszkanie i dał mu również utrzymanie.

Pobyt poety w Medyce po tragicznych przejściach z tęciem i żoną był okresem wytchnienia i odpoczynku. Widać to z obfitej korespondencji Ujejskiego ze swoimi przyjaciółmi jak Pajgertem, Mieczysławem Romanowskim i Mieczysławem Pawlikowskim. Własna izdebka, piękny ogród, często przybywający do Medyki ze Lwowa przyjaciele — wszystko to stworzyło atmosferę, w której poeta mógł poświęcić się poezji, snując wielkie zamierzenia literackie. Poddając się otoczeniu Medyki, pierwszy utwór tu powstały osnuł na tematyce miejscowej. W liście do Pawlikowskiego posyłał rękopis „Błot medycejskich”, drukowany w r. 1857 w lwowskim „Dzienniku Literackim”.

„Znam ja łąkę w Medyce, znam łąkę przestronną,
Gdzie po zimie najpierwej zielono i wonno,
Gdzie wiatry najrzęźwiejsze, najobfitsze rosną,
Gdzie nieraz w rytmie nocy chył się niebiosy —
Łąka to wspólnych wód, łąka to gromadka,
Tam duchów świętych ofiar odbywa się schadka,
Bo chodzą wieść u ludu, że dawno przed laty,
Stoczyły tam rozpaczny bój konfederaty,
I chodzą wieść prorocza, wieść nachnięciem męska,
Ze stoczy się tam bitwa ostatnia, zwycięska;
Tam mnie nieście! tam głowę złóżcie pod murawą,
Niech ta wielka nadzieja będzie moją sławą,
Mniejsza czy mnie pogrzebią z lamentem i krzykiem,
Niech ta wielka nadzieja będzie mym pomnikiem!

Temat do utworu zaczerpnął Ujejski z krajażem u tutejszego ludu legendy o rozegraniu się na błoniach

„Będzie bóg, jako żaden od wieków nie słynie,
Dla trupów miejsca braknie, blisk San krwią splynie”.

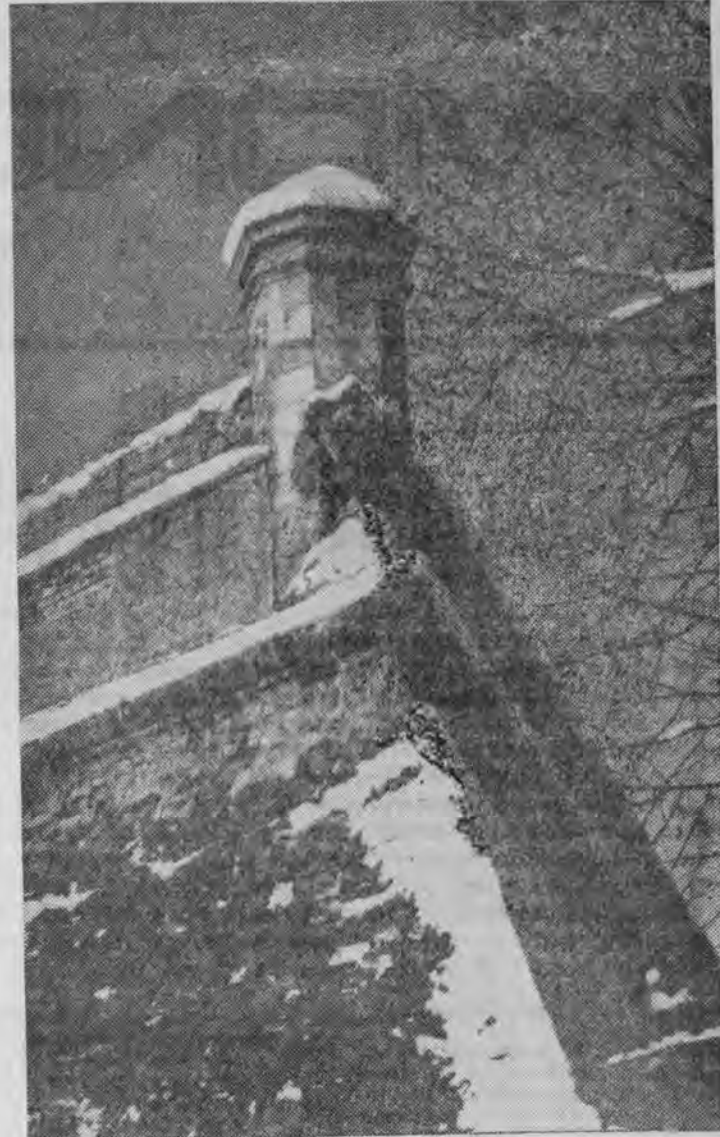
Ale bitwa ta zapewni ludowi wolność, dobrobyt i szczęście.

W liście do Pawlikowskiego dawał poeta: „Posyłam Ci rzecz przed kilku minutami skończoną. Bierz miarę z tego, jako cię kocham, kiedy rozpiętomiona jeszcze ogniem nachnięcia, moja myśl zwróciła się natychmiast ku tobie, aby ci ofiarować w dowód mojej miłości ten pierwszy wiersz w Medyce napisany. Wiersz ten tobie poświęcam.

medycejskiej wielkiej bitwy z Tatarami, w której było wiele trupów. Na błoniach tych

Chciałbym, aby nasze imiona łączyły się jak najczęściej i w pamięci ludzkiej zostały bliźniętami”.

Obcowanie Ujejskiego z ludem tutejszym zrodziło w nim pomysły napisania i wydania specjalnych książeczek dla ludu. W tym celu pisał do Pawlikowskiego o przysłanie do Medyki pieśni ludowych Kolberga. „Urodziła się za nachnięciem bożym potęga w Medyce — zwierzał się 15 XII 1857 r. temuż Pawlikow-



Prof. JANUSZ WITOWIEC

skiemu. — Polskę więc poruszmy! Ludwik Wolski opowie ci o wszystkim. Odjeżdża stąd jak nabite działo. Tobie pomimo tego że musisz należeć do boju, zostawiamy honor lontu: zapalisz tu tę rzecz przy naszym okrzyku: Hurra! (...). Toż zdawałoby się (...) że to spisek podstępny zlamana chorągiewka Mazziniego. — Nie! To będą książeczki do czytania dla wiejskich szkółek, dla których ja wiersze pisać będę, naginając prorocy patos mego ducha na ton Lenartowiczowski. Wiem, jak się rozradujesz tą wiadomością, bo (...) straszna w tej rzeczy potęga”.

Pobyt Ujejskiego w Medyce, w czasie którego powstały jeszcze „Dla synów światłości”, „Orły i słowiki”, „Piąg i szabla” oraz obrazki sceniczne „Rozbitki”, był przerywany wyjazdami do Krakowa i Lwowa. Do tego ostatniego jeździł poeta w roku 1856 w celu wygłoszenia napisanego przez siebie w Medyce

„Prologu przy nowym otwarciu sceny polskiej we Lwowie w r. 1857”.

Opieka Pawlikowskiego nad Ujejskim w Medyce przywróciła pocie równowagę duchową, dzięki której zaczął znowu tworzyć, natchniony często realiami przemyskimi i miłością do ludu tutejszego. Przyjął i wdzięczność dla swego chlebodawcy i opiekuna zachował poeta jeszcze długo po opuszczeniu Medyki (1858), kiedy w obłąkaniu w dzierżawę od magistratu lwowskiego Zubrzę pod Lwowem. Kiedy w roku 1860 urodził się Pawlikowskiemu syn, poeta pisał do właściciela Medyki: „Niech rośnie i niech stanie na błoni medycejskiej, licząc świeże magiły, szczęśliwe i wolne”.

W Przemysłu wyszły pod koniec życia pisarza jego „Drobne poematy i urywki” (1893) oraz w tymże roku nastąpiło wydanie „Wierszy różnych” i „Melodii biblijnych”.

● ARTYKUŁ DYSKUSYJNY ● ARTYKUŁ DYSKUSYJNY ● ARTYKUŁ DYSKUSYJNY ● ARTYKUŁ DYSKUSYJNY ● ARTYKUŁ DYSKUSYJNY ● ARTYKUŁ DYSKUSYJNY ●

STANISŁAW GALOS

Zamiast gromów

Sypią się gromy na głowy nastolatków. I sypać się chyba będzie ich coraz więcej, jako że sposób bycia, stosunek do otoczenia, sfera zainteresowań tego pokolenia zaczynają budzić niepokój nawet u zatwardziałychoł stółków i optymistów. Starsze pokolenie stawia sobie wiele pytań, na które nie znajduje odpowiedzi. Iż matek i ojców konstatuje z przestachem, że nie ma wpływu na 15-letniego syna, który wymyka się z domu na całe dni, ba — nawet noc, zaniedbuje się w nauce, jest krnąbrny, bimba sobie z wszystkiego. Gdzie tkwią tego przyczyny, skąd się bierze u 16 latka cynizm, wcale nie wyglądający na pozę, dlaczego 15-letnia dziewczyna, której matka zabroniła pójścia na randkę i w związku z tym schowała jej szpilki — urządziła rodziciele karzącą awanturę, a potem uderzyła nawet w twarz? Miało to miejsce w naszym wojewódzkim grodzie Rzeszowie, pod koniec ubiegłego roku.

Grupa kilkunastu wyrostków parę dni temu zamknęła jakąś dziewczynę w ubikacji w „Pstryczku” i kiedy uwieczona tłułka czym mogła w drzwi, stojący na korytarzu kawiarni młodzieńcy urządzali sobie zbiorowy rechot, zadowolony z urządnego „kawatu”.

Jesteśmy świadkami osobliwej psychozy, której podłoża jednoznacznie nie ustali ani psycholog, ani socjolog; psychozy która, dąży nieczym czerw wiele rodzinnych ognisk. Pessimistami mówią o kompletnym zdevaluowaniu autorytetu domu, rodziców, w ogóle starszych w oczach pokolenia nastolatków. Twierdzą też, że abnegacja nastolatków, dekadencja moralności są osobliwą formą „wymianowania się” od modelu postępowania proponowanego przez starszych, mało atrakcyjnego dla młodych. Trudno, na pewno trudno byłoby się

dogodzić z tym fatalistycznym „ustawieniem” problemu i chyba źródła zła szukać trzeba w głębszych podłożach. Trzeba szukać źródeł zjawiska, które legło u podstaw, że znaczne kręgi młodzieży rządzą się w swych działaniach impulsami, że określone sytuacje wywołują u nich określone reakcje, a myśli i uczucia znajdują się w stanie rozproszenia.

Wiele przykładów świadczy, że szczerze zatroskani o wychowanie swych pociech rodzice, choćby najbardziej zapracowani potrafili wykreślić, znaleźć trochę czasu dla dzieci. Pamiętają o jednym: że utrata autorytetu, niemożność znalezienia wspólnego języka z synem lub córką wynika najczęściej z niedostatków form, z nieumiejętnego podejścia nie uwzględniającego złożoności psychiki dziecka, jego wrażliwości — różnych przeżyć od wieku dojrzałego. Słowa: jak byłem młody... — dziś młodzież przyjmuje z przynurzeniem oka. I nie może być inaczej w epoce tak gwałtownych przewartościowań pojęć, w epoce kiedy 16-letni chłopiec czy dziewczyna ma znacznie więcej wiadomości o świecie, niż ich rodzice w młodości. Niedawno czytałem w jednej z gazet, że 15-letni chłopak w Nowym Saczu własnym sumptem sporządził tak doskonały model samolotu z autentycznym silnikiem z jakiegoś zdemontowanego samochodu osobowego. Iż z podziwem oglądali jego dzieło znani eksperci — choć ze względu na wiek konstruktora nie wyraził zgody na jego próbną loty.

Młodzież chłonie wiedzę łakomie, w takim tempie, w jakim podsuwa jej to życie. Rzadko jest to jednak „samokształcenie” zgodne z programem szkolnym czy życzeniami rodziców. I sek w tym, jak ten młodzieńczy ped, ogromna chłonność ujęć w karby, kierować na właściwe tory. Tego nie da się uczynić, ani

pobożnymi apelami, archaicznymi metodami ani pobłażliwością.

Wiele rodziców jest bardzo wyrozumiałych wobec swoich pociech, spełnia każdy kaprys, każde życzenie córki czy syna. Po prostu uczy konsumpcyjnego podejścia do życia. Zauważcie ile na ulicy spotykacie co dzień 15-latek obnoszących się z najnowszymi modelami szpilek itp. Codziennym zjawiskiem jest to, że 15, 16, 17-letnia uczennica maluje wargi i brwi nie tylko po lekcjach, ale nawet zjawia się uszmiłkowana w szkole. Nie pomagają tutaj żadne apele nauczycieli. Młodzież otrzymuje od rodziców wszystko, więcej niż jej się należy. Często ponad możliwości finansowe rodziców. A młodzieży ten fakt przyjmuje jako rzecz oczywistą, nie interesują się, z jakim trudem został zdobyty grosz na najnowszy model szpilek itp. W rezultacie tego niewłaściwego postępowania rodziców, młodzież nie wyrabia w sobie nawyku do samodzielności, poczucia oszczędności radzenia sobie w życiu. Nie wyrabia w sobie szacunku do pracy.

Rozmawiałem ostatnio z kilku nauczycielami. I wiedzę co powiedzieli? Ze najwięcej problemów mają właśnie z uczniami i uczennicami z najlepszej sytuowanych domów, w których dzieci nauczone zostały bez troski od najmłodszych lat. Krnąbrni, nieposłuszni, zły wywierają wpływ na dzieci uboższych rodziców. Za nic mają nauczycieli. Już dzisiaj niektórzy z nich potrafią kpiąc rzucić uwagę, że przecież „beller” w porównaniu z ich ojcem jest „dziadem”. Synalkowie tychże dobrze sytuowanych ludzi starają się często w szkole zaślaniać autorytetem nazwiska swego ojca, licząc że to pozwoli im przejść przez szkołę według taryfy ulgowej. Są też przykłady świadczące o tym,

że niektórzy ojcowie usiłują nadskakać na nauczycieli. Nie zawsze tego rodzaju naciski, niestety, spotykają się z należytą odprawą.

Kilka dni temu siedziałem w „Kosmosie” przy kawie z jednym z inżynierów-chemików. Obok nas okupowało stołek dwóch młodych mężczyzn, rosyjski, dobrze odżywionych i ubranych, łączących może po 20—21 lat. Mimowolnie wystuchaliśmy ich ciekawej dyskusji. Ciekawej przez to, że w jakimś stopniu symbolizującej nowy, choć zaskakujący w swej wymowie problem. Otóż jeden z chłopców nie bez odcienia dumy opowiadał, że właśnie w tym roku akademickim zaczął po raz trzeci na trzeciej z rzędu uczelni studiować. I tym razem pomylili się z wyborem zawodu. Przerwał więc edukację, a ojciec — twierdził — na pewno mu pomoże w przyszłym roku zacząć wszystko od nowa. Miał kłopoty z wojskiem, ale jakoś tę sprawę załatwiono. Drugi młodzieniec nie podejmował w tym roku szkolnej edukacji, choć ją przerwał po dwóch latach studiów.

Pili wino, dużo wina i mieli rozwiazane języki. Mówili o tym wszystkim z beztróską cechującą ludzi dla których nic, a przede wszystkim pieniądze nie są problemem. Na pewno tym chłopcom nigdy do głowy nie przyszło, że przez te lata rozpoczętych i zmarnowanych przez nich studiów państwo poniosło dziesiątki tysięcy złotych strat, że nie chcą się uczyć blokowali miejsca innym, sumienniejszym. Na pewno też tym chłopcom nie przyszło do głowy, że przywoleje, z których korzystają ich ojcowie z racji wykształcenia, kwalifikacji i stanowiska, im, młodym leniom przecież nie przysługują. I to że z nich korzystają, że ich nadużywają, jest nienormalnym zjawiskiem, jest czymś niemoralnym nie mieszczącym się w granicach naszych norm społecznego współżycia. Społeczeństwo ma prawo zapytać: dlaczego i w imię czego taki jeden z drugim niepoa ma korzystać ze stosunków ojca? Jak to się dzieje, że podobne „kwiatki” i stosunekki uchodzą jakoś uwadze ogółu i społecznej presji?

Można przedziś inaczej. Dowiódł tego pewien, szeroko znany w Rzeszowie, obywatel, którego synal absolutnie nie chciał się uczyć. Kiedy chłopak przerwał naukę, doszło między ojcem a synem do zasadniczej rozmowy: nie chcesz się uczyć — powiedziały ojciec — to twoja rzecz. Musisz się jednak wziąć do roboty, a że masz tylko 9 klas, będziesz musiał podjąć pracę fizyczną. Rozjeżdż się za zajęciem dla siebie.

Chłopak poszedł na budowę. Gdy przyszedł dzień wypłaty wrócił nad ranem. Po dwóch dniach ojciec wziął go na drugą zasadniczą rozmowę, przedstawił mu dokładnie, ile wydał na jego utrzymanie w zeszłym miesiącu, zadając uregulowania zapłaty. Policzył mu nawet za światło i opał. Syn skrzywił się jakby zjadł zgniały cytrynę, bo mniemał, że ojciec da mu jeść, dach nad głową za darmo, a on co sobie zarobił będzie miał na osobiste wydatki. Nie podoba ci się? — zapytał ojciec. Mózg pójść do hotelu robotniczego. Syn przeknął pigułkę, bo wiedział że z ojcem nie ma żartów. Zawodowo pracował i pracuje dalej, po jakimś czasie podjął jednak naukę i w tym roku stanie do matury...

Problem dorastającego pokolenia, to problem trójkąta dom-szkola-otoczenie. Tu wykrywa się kształt postaw, które w wieku dojrzałym decydują o roli, jaką chłopak czy dziewczyna zajmą w społeczeństwie. Jak zharmonizować wysiłki rodziców i szkoły, a równocześnie, co zrobić żeby uszczęśliwić przed złym wpływem otoczenia, nie tylko rówieśników, otoczenia, w którym przebywają poza domem i poza szkołą — oto problemy, których nie da się rozwiązać malkontenckimi impresjami. Nie ma uniwersalnego modelu wychowawczego i takiego być nie może: samo życie, konkretne sytuacje, a przede wszystkim intuicja i krytyczny stosunek rodziców musi być determinantą każdego przedsięwzięcia wychowawczego. Młodzież trzeba dostrzegać taką jaką ona jest, choć równocześnie musi się wiedzieć, jak chciałoby się ją widzieć

Radzą towarzystwa naukowe Przemysła

W województwie rzeszowskim istnieje kilkadziesiąt stowarzyszeń o charakterze naukowym i społeczno-kulturalnym. O wielu z nich mało, niestety, wiemy, z działalnością bowiem są zbyt rzadko wychodzą na zewnątrz. Różne są tego przyczyny.

Niewątpliwie rezultaty społecznej pracy członków tych towarzystw byłyby większe, gdyby działalność ich została w jakiś sposób skoordynowana.

Pierwsze kroki w tym kierunku uczyniono w Przemyslu. Tu koordynacja była sprawą bardziej niż gdzie indziej konieczną. W mieście pozabawionym wprawdzie wyższych uczelni mieszka i pracuje spora grupa naukowców i inteligencji różnych kierunków i zainteresowań. Ludzie ci od dawna zorganizowani są w kilkunastu towarzystwach naukowych społeczno-kulturalnych.

Jedno z najstarszych, to założone jeszcze w 1909 roku Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które działalność swą rozpoczęło od gromadzenia zbiorów muzealnych. Stały się one później zaczątkiem istniejącego do dziś muzeum przemysłowego. Staraniem Towarzystwa ukazało się kilka „Roczników Przemyskich”. Żywa i codzienna jest współpraca TPN z muzeum.

Wprawdzie z przerwami, lecz do dziś działa założone jeszcze w ubiegłym stuleciu Towarzystwo Dramatyczne im. Aleksandra Fredry. Wśród kilkunastu towarzystw (nie sposób więc dać w krótkim omówieniu charakterystyki wszystkich) najmłodszy jest Oddział Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego założony w 1963 roku.

Dyskusja w czasie niedzielnego sejmiku działaczy towarzystw naukowych i społeczno-kulturalnych w całej rozciągłości potwierdziła, że koordynacja, wymiana poglądów, korekta planów i zamierzeń, powiązanie działalności z aktualnymi potrzebami gwarantują prawidłowy rozwój towarzystw.

Oto kilka poruszonych na sejmiku spraw aktualnych, sądzę nie tylko w Przemyslu.

AKTYWIZACJA. Jedno z bardziej żywotnych towarzystw — Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego skupiający około 80 historyków, szczerzący się znacznym dorobkiem mógłby mieć ten dorobek znacznie większy, gdyby nie tylko dziesięciu czy też dziesięciu członków, lecz wszyscy aktywnie w nim pracowali. Podobnie jest i w pozostałych towarzystwach. Jakże są tego przyczyny? Na to pytanie, niestety, na sejmiku nie znalazłem konkretnej od-

powiedzi, poza oczywiście wskazywanym brakiem koordynacji. Być może wiele do zyczenia pozostawia kierownicza rola zarządów?

TECHNICY I HUMANISCI. Szybki postęp wiedzy technicznej i rozwój nauk humanistycznych stawia zarówno przed Technikami, jak i humanistami nowe dodatkowe zadania. Coraz więcej czasu poświęcać muszą na utrzymywanie się w „kursie spraw”. A co dopiero mówić o poznawaniu spraw technicznych przez humanistów i na odwrót. Tu właśnie dużą rolę do spełnienia winna mieć wymiana i współpraca, a w wyniku tego humanizacja Techników i politecznicacja humanistów.

MŁODA INTELIGENCJA W TOWARZYSTWACH NAUKOWYCH. Wśród przedstawicieli towarzystw naukowych uczestniczących w przemyskim sejmiku przeważali zdecydowanie ludzie starsi oraz chyba pierwsi powojenni absolwenci wyższych uczelni. Można przypuszczać, że podobny jest skład wielu towarzystw, z wyjątkiem chyba towarzystwa lekarskiego, w którego szeregu, jak informował prezes, znajduje się wielu młodych lekarzy.

WYDAWNICTWA. Najaktywniejsi są dotychczas historycy. Dużo badają, piszą i wydają. Trudno więc mieć pretensję, że np. mało ukazują się prace lekarskich, ekonomicznych, a za dużo historycznych. Piszcza, będziemy drukować. Pytanie tylko gdzie? „Roczniki Przemyskie” drukuje się zbyt wolno, cykl produkcyjny trwa nieraz i kilka lat. Autorzy niezbyt chętnie doń piszą, gdyż prace po roku często się już dezaktualizują. Proponowaliśmy więc miesięcznik, który byłby bardziej operatywny i pozwalał niemalże na bieżąco prowadzić naukową informację.

DOROCZNA NAGRODA. Ze wzrostem miar warta poparcia jest propozycja ufundowania stałej dorocznej nagrody, która umożliwiałaby w pewnym sensie kierowanie pracami naukowymi w celu jak najwłaściwszego wykorzystania społecznego trudu mózgow.

RADA KOORDYNACYJNA. Obrady sejmiku zakończyły się osiągnięciem pełnego porozumienia przedstawicieli wszystkich towarzystw, którzy byli jednomyślni co do powołania instytucji koordynującej i kierującej ich działalnością. Będzie to rada, w której skład wejdą przedstawiciele wszystkich towarzystw.

R. B.

Dobrze to na pewno, kiedy teatr sięga po sztukę współczesną, bośmy teraźniejszości spragnieni. Dobrze tym bardziej, jeśli ta sztuka jest dramatem radzieckim, bo nie gości on zbyt często na naszych scenach. A nade wszystko znakomicie byłoby, gdyby tę współczesną sztukę radziecką świetnie rozegrał i w konsekwencji ofiarował widzowi interesujący go fragment życia, przetransponowany na język teatru. Myślę, że właśnie to ostatnie, nie nazbyt przecie optymalne życzenie — wymogę na prawo powstać każdy przeciętny widz ksztaftu ambitnemu teatrowi. Reszta jest kunsztem reżysera i aktora...

Zamysł Aleksandra Wołodina w „Pięciu wieczorach”, wystawiony ostatnio przez Teatr im. W. Sienkiewicza w reżyserii Jerzego Pleśniarowicza, polegał na skonstruowaniu kameralnego widowiska z wielce różnym, choć nie zawsze skomplikowanym psychologicznie wnętrzem bohaterów. Bohaterów oczywiście w konkretnych sytuacjach, w zetknięciu z konkretnym otoczeniem, słowem — w całej aurze leningradzkiego dnia powszedniego — bohaterów realistów. To nie są absolutnie ludzie zaubieni, zmęczeni sobą i rolą, jaką przysłużyli im odegrać w dziesięciu wiecie, co z góry eliminuje psychologizowanie i wszelkie mętnactwo stał wynikające. W gruncie rzeczy sztuka Wołodina nie podlega schematom bohaterów pozytywnych i negatywnych; w niej wszyscy są w jakiś sposób pozytywni, wszyscy cenią swoje miejsce w społeczności i znają swoją wartość. Dlatego może ciekawe są ich reakcje na pewne, usłowieczone tradycją, banalne sytuacje, w jakie zaplatł ich autor. Bo nie z sytuacji są prócznicami w pomysłu i zna te dramaturgia światowa, odgad sama istnieje, a dramaturg świadomie uprościł fabule swej sztuki — z paru niedobrzeznaczenie wypunktowanych kwestii dość jasno wynika. Na tyle jasno, że czuję się zwiniona od wszelkich dalszych eksplikacji.

Stary, krytyczny romans Tamary i Iljin, odwołany przez niego ot tak, z przypadku, kaprysu nudzącego się mężczyzny w obcym, za dużym dla niego Leningradzie, jest pretekstem do głębszej analizy postaw tych dwojga, do naszkicowania maleńkiej panoramy ludzkich słabości, wroklivej atmosfery młodości, zrecznej konfrontacji dwóch pokoleń w kwestii serca i przyjaźni.

Cała czwórka, a wlecz Tamara i Iljin, Katia i Sława głęboko tkwi poza tym w swojej pracy, powie-działabym, że właśnie ta możliwość wykonywania zawodu w jakiś sposób determinuje ich stosunek

do problemów natury osobistej. Wyłamuje się tu może najbardziej sam Iljin, zonglując stale na pograniczu idealisty i niebieskiego ptaka, co zresztą wcale nie wpływa dobrze na spójność dramatyczną tego nieco skomplikowanego psychologicznie bohatera.

Iljin, którego grał w Rzeszowie Bogdan Kizukiewicz i wokół którego właściwie toczy się cały ten mały konflikt, mnie osobiście wydał się najmniej przekonujący. Tym bardziej że sam Kizukiewicz potraktował tę postać jak z niedo-bro, egzystencjalistycznego dramatu; trochę z pozą i nonszalantko. I właściwie nie wiem do dziś, czemu to wielkie zakochanie Ta-

ła autentyczną natoną amantką, która z dużym wdziękiem i prawie va banque zdobywała swojego mężczyznę. Podobną mi się także Henryk Gońda (Sława), liryczny i bardzo naturalny w czupurnej zadziorności nastolatka oraz Jadwiga Ulatowska, prowadząca dzielnie swoją Zoję przez wszystkie niedostatki ubożuchnej roli.

„Pięć wieczorów” Wołodina Jerzy Pleśniarowicz zrealizował z dużym wyczuciem ich rytmu epickiego: czytelnie i prosto opowiadał kolejne dzieje Iljina i Tamary. Ta zamierzona rozległość była na pewno interesującym pomysłem reżyserkim, choć w gruncie rzeczy musiała spowodować wiebez-pieczęństwo niezamierzonych dłużyzn. Zmieniała momentami sztukę sceniczną w swoisty reportaż o uczuciach, z natrętnie pobrzękującą gitarą i głosem narratora, który w pierwotnym założeniu, mając budować nastrój, raczej psuł go swoim sentymentalizmem, niewiele wnosząc nowego do sztuki.

I pomyśleć, że dostaliśmy za długie przedstawienie w czasach, gdzie bez pardonu okratowa się z genialnych scen Moliera, Czechowa, ba, by nie wspomnieć, co dzieje się z mistrzem znad Avonu!

A już tak zupełnie marginalnie, parafrazując genialnego Villona, gdzież się na naszej scenie niedyślejse Czechow, gdzie Dostojewski? Jak pięknie by w duszy zaśpiewał Majakowski! Świeżo mając w pamięci ostatni przekład „Pięciu wieczorów” Wołodina, dokonany przez Jerzego Pleśniarowicza, trudno nie zasugerować tłumacza na przykład adaptacją Izaaka Babla. Ale na tej pięknej wizji już poprzestajmy!

Państwowy Teatr im. W. Sienkiewicza w Rzeszowie. Aleksander Wołodina „Pięć wieczorów”. Reżyseria i reżyseria Jerzy Pleśniarowicz. Asyst. reż. Henryk Gońda. Scenografia: Jerzy Szymański. Muż.: Tadeusz Hejda. Wykonawcy: Irena Chudzikówna (Tamara), Stefania Massalska (Katia), Jadwiga Ulatowska (Zoja), Bogdan Kizukiewicz (Iljin), Henryk Gońda (Sława), Zbigniew Zaremba (Timofiejew), Zdzisław Kozłak (Głos oświecka z gitarą).

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA Leningradzkie wieczory

mary, z której Irena Chudzikówna zrobiła stetryczną zrzędo o bolesnej twarzy typowej femme fatale, trwało z taką intensywnością przez lata?

Bo Tamara Wołodina — to ładnie narysowany portret kobiety, rezygnującej, co prawda, z innych mężczyzn, ale nie z tego jedyne! I przede wszystkim kobiety inteligentnej. Gdy znikła ten ostatni atrybut, rola ubożeje, staje się staroświecka, w niedobrym znaczeniu tego słowa.

Z o wiele większą sympatią, przyznaję, obserwowałam zabawną i wielce sympatyczny duet dwojga młodych: Katii i Sławy. Stefania Massalska, nawet respektowna niezładnymi kostiumami, by-



Fot. MICHAŁ KOPEĆ

Pomnik regionalnego patriotyzmu

W sercu wydawnictw XX-lecia w województwie rzeszowskim na szczególną uwagę zasługuje opublikowany niedawno obszerny tom rozpraw i szkiców naukowych pod redakcją Józefa Garbacika. Książka wydana dzięki funduszom Powiatowej i Miejskiej Rady Narodowej w Jasle przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe, powstała jako wynik współpracy miejscowych miłośników przeszłości Jasła i naukowców z UJ i WSP w Krakowie. Ale chyba także jako wynik serdecznego zaangażowania uczuciowego w sprawy miasta i dmy patriotycznej z jego 600-letniej przeszłości historycznej i kulturalnej. Te motywy odegrały decydującą rolę nie tylko w pracy jasielskich autorów, lecz także pracowników naukowych krakowskich uczelni — ponieważ większość z nich z tamtych stron się wywodzi. Sam redaktor „Studiów z dziejów Jasła”, prof. Garbacik pochodzi z Tarnowca i o tym, jak widać z niektórych jego rozpraw naukowych nie zapomina.

Książka składa się z 27 prac, obejmujących historię polityczną, społeczną, gospodarczą i kulturalną Jasła i powiatu jasielskiego od zarania jego dziejów do czasów obecnych. Wiąże się więc także ściśle z Tysiącleciem Państwa Polskiego i ze zbliżającym się 600-leciem Jasła, stanowiąc piękny i trwały pomnik tych obchodów.

Nie mogę tu niestety z braku miejsca wymienić wszystkich autorów i wszystkich tytułów rozpraw.

Wśród nich znajdziemy między innymi tak znane nazwiska jak wspomnianego już wyżej redaktora wydawnictwa, następnie Adama Przybosa, Henryka Dobrowolskiego, Józefa Buszko, Stanisława Cynarskiego, Andrzeja Żaki, Romana Reinfussa... Z miejscowych (mieszkających w Jasle lub okolicy) opublikowali tam swoje rozprawy: Tadeusz Sławski, Władysław Lubas, Mieczysław Wieliczko i Kazimierz Zieliński oraz autorzy ze wspólnej pracy o stosunkach demograficznych i gospodarczych powiatu jasielskiego pod kierunkiem Marii Dobrowolskiej (E. Bieniek, W. Ba-

ryk, I. Gotwald, J. Niemiec, A. Maryński, I. Wszolek, K. Zajac, M. Zygmunt).

Wszystkie prace są bardzo rzetelne, wnikliwe, oparte przeważnie na materiałach źródłowych i gruntownych studiach archiwalnych. Nie zamierzam tu przeprowadzać merytorycznej oceny — nie czuję się do tego powołany ani przygotowany. Ale imponują mi wysokie ambicje naukowe studiów jasielskich — brak w nich jakiegokolwiek amatorszczyzny i dyktantstwa. Może nieco za mało uwzględniono w szerokim wachlarzu problemów tradycje literackie i kulturalne miasta i powiatu. Szkoda, że te sprawy nie uzyskały tak wyczerpującego i interesującego opracowania jak pokrewne im dzieje oświaty pod piórem Kazimierza Zielińskiego. Po raz pierwszy uzyskaliśmy tak szczegółowy obraz dziejów ruchu ludowego i robotniczego na tym terenie w rozprawach Henryka Dobrowolskiego „Powiat jasielski w okresie międzywojennym” i Mieczysława Wieliczko: „Narodzinny władzy ludowej w regionie jasielskim”. Zwracam uwagę na te prace spośród wielu innych, gdyż mogą one szczególnie się przydać prelegentom i działaczom oświatowym.

Nie ustrzeżono się również, co zresztą przy tego typu wydawnictwie jest prawie nieuniknione, także nieścisłości i pomyłek. Na przykład Henryk Kotarski w szkicu „Wyzwalanie regionu jasielskiego przez Armię Radziecką 1944—1945” mylnie podaje datę sforsowania Przełęczy Dukielskiej. Nastąpiło to 6 października 1944 r., a nie 6 listopada. Popełnia również błędy topograficzne. Na str. 443 pisze: „Zdobyt Zmigród Nowy, Csiek i Dobowlec, osiagając tym samym linię Wisłoka”, i dalej na tej samej stronie: „...zajmując teren od Trzeźnicy do Wisłoka w jego górnym biegu”. Oczywiście chodzi tu o Wisłokę, a nie o Wisłokę. I znów na tej samej stronie: „...przedłużały od południa linię zamykającą klina przez zdobycie Gorlic, Zagórza...”. Chodzi tu chyba o Zagorzany — Zagórz koło Sarnoka był już wtedy dawno wyzwolony. Prostuje też usterki, gdyż nie ujęto ich w errata, a mogą zdezorientować czytelników z innych regionów.

lony. Prostuje też usterki, gdyż nie ujęto ich w errata, a mogą zdezorientować czytelników z innych regionów.

Nie zmienia to faktu, że „Studia z dziejów Jasła” z jednej strony zaspokoją głód wiedzy o przeszłości rodzinnych stron wielu miłośników historii — zwłaszcza młodzieży i działaczy kulturalno-oświatowych, z drugiej zaś wypełniają wielką lukę w dziedzinie wiedzy naukowej o Jasle i okolicy, i stanowią podstawę do dalszego rozwoju badań.

Dotąd bowiem poza „Opisem powiatu jasielskiego” Władysława Sarny — monografią wydaną jeszcze w roku 1908, nie było dla tego regionu żadnych nowszych, szerszych i bardziej szczegółowych badań historycznych. Nic dziwnego, że książka Sarny, której nieliczne egzemplarze się zachowały, była dotąd w Jasle ceniona na wagę złota. W mieście bowiem, które zostało zniszczone do fundamentów i na nowo w naszych czasach zbudowane, głód wiedzy o przeszłości i związki uczuciowe z tradycjami historycznymi są silniejsze niż gdziekolwiek. Toteż zarówno inicjatorom tej pięknej i poważnej imprezy wydawniczej, jak i fundatorom — radom narodowym powiatu i miasta, należy się pełne uznanie za krzewienie właściwie pojętego patriotyzmu lokalnego, szacunku i umiłowania pięknych tradycji z przeszłości i szerezenie gruntownej wiedzy o swoim regionie. Warto słowami z przedmowy do „Studiów”... Władysława Kruczka postawić to za wzór. „Studia z dziejów Jasła i powiatu jasielskiego” jako cześćowy wkład do szczegółowych dziejów naszego województwa są dobrym przykładem i wzorem dla innych powiatów naszego regionu, aby i one poszły w ślady tego powiatu. Jest to cenny wkład do skarbnicy dziejów całej Rzeszowszczyzny”.

(J.G.)

* „Studia z dziejów Jasła i powiatu jasielskiego” pod redakcją Józefa Garbacika — Kraków 1964 PWN — Oddział w Krakowie.

Pisał po polsku przed Mikołajem Rejem

Jedną z nagród Wydziału Nauk Społecznych PAN za rok 1964 przyznała książkę pt. „Stanisław z Bochni, Kleryka królewski”, która ukazała się nakładem „Ossolineum” w serii „Studia Staropolskie”. O książce i jej bohaterze rozmawiamy z autorką, młodą pracowniczką Instytutu Badań Literackich — Heleną Kapetką.

— Jest to monografia, poświęcona życiu i twórczości Stanisława Gąsiora (1493 — ok. 1562), zwanego też Stanisławem z Bochni lub Stanisławem Kleryką, zapomnianego poety polskiego pierwszej połowy XVI wieku. Pracę oparłam przede wszystkim na wynikach moich własnych poszukiwań, które rzuciły trochę światła na polskie życie literackie okresu Odrodzenia.

Z ułamkowych informacji, uzyskanych w zespole rachunków dworu ostatnich dwu Jagiellonów, znajdujących się w Archiwum Akt Dawnych, udało mi się zrekonstruować rolę Stanisława na dworze Zygmunta. Trochę szczegółów z jego życia, jak też o rodzinie i środowisku, z którego pochodził, zdobyłam w archiwum Bochni, mieście rodzinnym poety.

Kim był? Zainteresował mnie przede wszystkim od strony związków rodzinnych, był bowiem wujem Łukasza Górnickiego. Syn średniozamożnych mieszczan z Bochni zrobił wielką karierę: został kapelanem i opiekunem kaplicy królów polskich. Był poetą panegirystą dwu ostatnich Jagiellonów. Jego pierwszy wiersz, którego autorstwo nie nastrocza wątpliwości, powstał w 1529 r. dla uczczenia koronacji królewicza Zygmunta Augusta. Wiersz ten zachował się w zbiorach druków polskich w Upsali, wywiezionych do Szwecji w czasie Potopu. Drugim, absolutnie pewnym, jego utworem, jest wiersz „Na wesele królowej Izabelle”, siostry Zygmunta Augusta, poślubionej królowi Węgier Janowi Zapolji.

— Udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość — stwierdza H. Kapetka — że jego autorstwa jest też wierszowana książka, utrzymana w żartobliwej formie wróżb pt. „Fortuna”, która cieszyła się ogromnym powodzeniem i w przedrukach oraz w przeróbkach krążyła po Polsce, oczywiście, już jako utwór anonimowy, do połowy XVIII w.

Nazwisko Stanisława z Bochni można też łączyć z cyklem pieśni historycznych owej epoki. Przemawiają za tym właściwości stylistyczne, językowe i faktograficzne. Należy do nich zaliczyć „Pieśń o posiedzeniu i zniewoleniu ziemie węgierskiej”, dającą opis wypadków na Węgrzech w 1541 roku, wejścia Turków do Budy, ich gwałtów i klęski wojsk habsburskich. Utwór, ze względu na koloryt i zawarte w nim elementy epickie, przypomina pieśni ludowe.

Można mu też przypisać, powstałą w XVI wieku, pieśń o bitwie pod Grunwaldem, zatytułowaną „O porażce pruskiej, która się stała za króla Jagiełła Władysława”, wreszcie pieśń na śmierć Zygmunta Staroego i wiersz „Napis nad grobem królowej Barbary”, będący poetycką obroną (choć bynajmniej nie tań jej wad) ukochanej żony Zygmunta Augusta.

— Nielatwo było w tym czasie pisać po polsku — mówi H. Kapetka. — Nie był to jeszcze język, zdolny do oddania subtelnych odcieni uczuć. A jednak te tak wczesne wiersze polskie są niezwykle poprawne pod względem wersyfikacyjnym, napisane równym, czystym zgłoszkowcem, który udoskonalił później Rej i Kochanowski.

W odróżnieniu od swych przyjaciół — Kromera, Hozjusza, Klemensa Janickiego — pisał po polsku. Używał tego języka nawet w wierszach dworskich, niemal zastrzeżonych wówczas dla łaciny. Występujący w jego twórczości nurt ludowy zapewnił mu popularność, czego dowodem jest długi, choć już anonimowy, żywot jego utworów. W wierszach do królów występował się płaskiego panegiryzmu, zachowywał godność i umiar. Odnaleźć w nich można natomiast strofy, świadczące o patriotyzmie i dumie narodowej.

Nie można pominąć też jego zasług wobec Łukasza Górnickiego. Opiekował się swym siostrzeńcem i wprowadził go w świat dworski. Na niejednej karcie „Dworzanina” odnaleźć można związki z osobą Stanisława, mieszczanśkiego syna z Bochni, poety, który przed Rejem pisał w swym języku ojczystym.

Rozmawiał: ROMUALD ZAŁUSKA



WOJCIECH DZIURAWIEC — artysta rzeźbiarz.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Wolność przybyła na czołgach

(Ciąg dalszy ze str. 1)

nierze przepłynęli rzekę na łódkach dostarczonych przez rybaków. Polacy oddali nam deski, belki, pomogli budować tratwy, wskazywali miejsce, gdzie budować mosty, informowali o pozycjach hitlerowców za Wisłą. Niejednokrotnie meldowali się u mnie dowódcy polskich oddziałów partyzanckich, prosząc o wyznaczenie im zadania bojowego. Tym proponowałem wstąpienie do organizujących się oddziałów Wojska Polskiego. Wielu partyzantów czynnie pomagało naszym wojskom w czasie walk, szczególnie w rejonie Mielca. Serdeczne przyjaźnie nawiązałyśmy także z ludnością miejscową za Wisłą oraz później pod Tarnobrzegiem, podczas krótkiego wypoczynku.

— A żabkę w Dębnie pamiętasz? Pytanie rzuca żona marszałka Katurkowa, Katarzyna Sergiejewna, która także była wówczas na Rzeszowszczyźnie jako sanitariuszka w 21. brygadzie piechoty zmotoryzowanej.

— Żabkę? Naturalnie! Proszę, co to kobieca pamięć może zanotować! — śmieje się marszałek. Rzeczywiście, podczas postoju w Dębnie, każdego wieczoru słuchaliśmy żabich koncertów. Opodal naszej kwatery znajdował się stary, wypróchniały pień drzewa, w którego wgłębieniu zgromadziła się woda. Tam właśnie wieczorami pojawiał się nasz niezwykle gość — mała żabka. Była systematyczna i punktualna, bez względu na to, że wokół szalała wojna, dudniły czołgi, latały samoloty, huczały działa.

— Jak był dalszy szlak bojowy 1 armii pancernej gwardii?

— W styczniu 1945 roku nacierałyśmy z przyczółka magnuszewskiego. Nasza armia poszła na Łódź, Zgierz, Konin, Poznań, gdzie okrą-

żyliśmy Niemców i zamkniętych w twierdzy „przekazaliśmy” nadciągającej za nami armii gen. Czujkowa. Nasze natarcie było tak szybkie i niespodziewane, że na podpoznańskich lotniskach zdobyliśmy 400 pełnosprawnych samolotów, mnóstwo części zapasowych i paliwa oraz magazyny ze sprzętem medycznym. Czołgi szły ciągle naprzód i wkrótce zdobyliśmy przyczółek za Odrą w rejonie Frankfurta.

Ale niedługo tam popasaliśmy. Przekazawszy przyczółek dywizji 1. Armii, Zalizniaka zawróciliśmy na północ i popędziliśmy na Kolobrzeg. Jedną z brygad zajęła już południową część miasta, gdy nadszedł rozkaz przerzucający nas dalej. Nasz oddział przejął oddziały 1. Armii Wojska Polskiego, a my ruszyliśmy na Gdynię, gdzie uczestniczyliśmy w wyzwoleniu tego miasta. Pamiętam grupę Polaków, która przedarła się przez front, przynosząc mapy z oznaczonymi umościeniami i pozycjami faszystów, co sprawiło, że zmieniliśmy kierunek natarcia, uzyskując doskonałe efekty. W Gdyni również spotkałyśmy się z polską brygadą pancerną.

Potem wróciliśmy znów na frankfurcki przyczółek. Stąd ruszyliśmy do natarcia w operacji berlińskiej. Jak więc widzicie, gwardziści nasi przeszli w bojach Polskę wzdłuż i wszerz.

Już na pożegnanie, tuż przed odejściem, Tolek, młody, sympatyczny krewniak marszałka pokazuje mi książkę o bohaterach Związku Radzieckiego, w której jest także sylwetka Michała Jefimowicza Katurkowa. Okazuje się, że właśnie za walki w ofensywie styczniowej, za doskonałe wykonanie zadań bojowych otrzymał po raz drugi Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego. Rząd PRL za zasługi w wyzwoleniu naszej ojczyzny odznaczył go Krzyżem Wirtuti Militari i Krzyżem Grunwaldu oraz dwoma medalami wojskowymi.

WITOLD SZYM CZYK

Do trzech razy...

Pisaliśmy o tym 2 lata temu. Pisaliśmy w roku ubiegłym. Artykułami o tym samym temacie utworzenia w Rzeszowie towarzystwa fotograficznego i korzyści, jakie by z tego płynęły. Niestety, prócz listów zainteresowanych i fotoamatorów, artykuły te nie spotkały się z żadnym odzwierciedleniem wśród tzw. czytelników.

Obecnie ten sam temat porusza na swoich łamach miesięcznik „Fotografia” (nr 11) piórem Wandy Toczyskiej, postulując zorganizowanie Rzeszowskiego Towarzystwa Fotograficznego na wzór istniejących już od dawna w innych województwach.

Pragniemy zwrócić uwagę na ten artykuł i apel, zwłaszcza że dochodzą nas niepokojące sygnały z niektórych kół fotoamatorskich przy placówkach kulturalnych i zakładach pracy. Otóż niektóre dyrekcje żądają od fotoamatorów ograniczenia się wy-

Zdarzenia TYGODNIA

W związku z przypadającą w bieżącym roku 160 rocznicą śmierci Fryderyka Schillera przemyskie „Fredrum” przygotowuje „Intrygę i miłość”. Reżyserem tego spektaklu jest Karol Trygalski. Premiera „Intrygi i miłości” odbędzie się w lutym br.

Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie rozpoczęła nowy rok pracy koncertem rozrywkowym, w którym wzięli udział Halina Kunicka i Tadeusz Woźniakowski. Orkiestra pod dyrekcją Tadeusza Chachaja wykonała znane melodie rozrywkowe.

Koncerty odbyły się 8 i 10 bm. w Rzeszowie, 9 bm. w Mielcu, a 12 bm. w Jarosławiu.

Tradycyjna, bo trzecia już z kolei rzeszowska szopka satyryczna przygotowana została pod patronatem Oddziału Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich w Rzeszowie wg tekstu Władysława Szwał. Szopkę reżyserował Erazm Buchelt.

W sali wystawowej Polskiego Związku Artystów Plastyków przy placu Zwycięstwa w Rzeszowie otwarto wystawę prac — darów dla Szkoły Tysiąclecia im. Juliana Bruna w Skołyżynie, przekazanych przez Komitet Roku Plastyki dla Szkół Tysiąclecia. Szkoła ta otrzymała 7 prac olejnych i 8 grafik.

Dział Instrukcyjno-Metodyczny Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie zorganizował w dniu 9 i 10 stycznia seminarium dla instruktorów żywego słowa z terenu województwa (40 uczestników), poświęcone zagadnieniom reperturowym i metodycznym w związku z przygotowaniami do III Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Poezji. Festiwal ten trwał będzie od marca do lipca br. (prezjedynt środowiskowe, wojewódzkie i centralne).

W czwartek tj. 13 bm. odbyło się posiedzenie Wojewódzkiego Komitetu Organizacyjnego XI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w 30-lecie PRL. Na posiedzeniu dokonano oceny przebiegu eliminacji powiatowych oraz omówiono program eliminacji wojewódzkich, które odbędą się w dniach 30 do 31 stycznia (dla amatorów i studentów) oraz 6 — 7 lutego (młodzież szkolna).

We wtorek w Lubaczowie odbyło się posiedzenie Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, na którym oceniono dotychczasowy przebieg realizacji programu rozwoju działalności kulturalno-oswiatowej w tym powiecie.

13 bm. wyjechała do Nowego Sącza grupa pracowników Wydziału Kultury Prezydium WRN w celu wymiany doświadczeń w pracy kulturalno-oswiatowej między województwem krakowskim i rzeszowskim w ramach zawartej umowy między Prezydiami WRN obydwu województw. Dotychczas podobne grupy przyjeżdżały w Tarnobrzegu, Dąbrowie, Tarnowskiej, zapoznając się z organizacją placówek kulturalno-oswiatowych.

Informowaliśmy już o porozumieniu zawartym między Oddziałem Wojewódzkim ZTA i ZW ZMW z kierownictwem Teatru im. Wandy Slemaszkowej w Rzeszowie w sprawie współpracy w zakresie krzewienia kultury teatralnej w środowiskach wiejskich. Ostatnio ustalono termin spotkań z aktorami i reżyserami teatru na styczeń i luty, obejmujący 13 ośrodków wiejskich, a więc kluby kawiarnie i kluby „Ruch” oraz zespoły teatralne. Spotkać tych oddziałów 17, a na ich program złożą się fragmenty repertuaru teatru („Wesele” Wyspiańskiego i „Pieć wieców” Wołodynia) w wykonaniu kameralnym, wspomnienia z pracy, konsultacje programu zespołów itp.

Ostatnio w Pustkowie przy klubie fabrycznym Zakładów Tworzyw Sztucznych powstało koło miłośników teatru. W województwie rzeszowskim działa już 9 takich kół (3 w zakładach pracy, 4 w szkołach i 2 na wsi).

Ukazał się 6 numer „Przeglądu Artystycznego” a w nim artykuł Anny Górskiej z Rzeszowa o debiucie w stolicy” omawiający ubiegłoroczną ekspozycję prac naszych artystów w warszawskiej Zachęcie. Autorka, omawiając kolejne obrazy poszczególnych twórców, nie szczędząc przy tym uwag i krytyki, wyróżnia wielu autorów i stwierdza, że na tle poprzednich wystaw terenowych w Zachęcie (Kraków, Łódź, Katowice, Białystok i in.) „wystawa artystów rzeszowskich, dająca świadectwo dużej samodzielności tamtejszego środowiska, jest naprawdę interesującym wydarzeniem. Ich sztuka na ogół świeża, ciekawa nie pozwala nawet domyślać się różnicy wieku wystawców”.

Praca doktorska o teatrze TV

„Charakter rodzajowy fabularnego widowiska telewizyjnego” — taki tytuł nosi pierwsza w Polsce praca doktorska na temat teatru TV. Na podstawie tej pracy uzyskała stopień doktora nauk humanistycznych mgr Pola Wertowa z Zakładu

Wiedzy o Filmie Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego.

Praca P. Wertowej jest rzeczą o teatrze telewizyjnym, próbą porównania widowiska telewizyjnego i filmowego z jednoczesnym przedstawieniem dzieł powstania teatru TV w Polsce.

Angielski bestseller

W ostatnich tygodniach na czele listy bestsellerów angielskich znajduje się nowa powieść C. P. Snowa „Jasność i mrok”, „Czas nadziei”, „Sprawa Howarda” pod tytułem „The corridors of power” („Kuluary władzy”). Jest to powieść o charakterze wybitnie społecznym, rozpatrująca możliwości uniknięcia wojny termojądrowej. Część krytyków angielskich uważa tę książkę za najlepszą powieść polityczną naszych czasów.

Jak wiadomo, Charles Snow, wszedł ostatnio w skład nowego rządu. W związku z tym, jak oświadczył pisarz, będzie musiał na pewien czas przerwać pracę literacką. Ma jednak zamiar napisać serię szkiców biograficznych poświęconych głównie ludziom, których znał osobiście. A więc Einsteinowi, Churchillowi, Lloyd Georgesowi, Herbertowi Wellsowi.

Pewien nauczyciel powiedział mi: „Coraz częściej słyszę na konferencjach jak mówcy zwracają się do kolegów i koleżanek w formie: proszę KOLEŻENSTWA”.

Istotnie, wyraz KOLEŻENSTWO do niedawna oznaczał wyłącznie „kolegowanie”, „bycie kolegą”, podobnie, jak inne tego typu słowa oderwane, np. UBÓSTWO = bieda, ZNAWSTWO = znajomość rzeczy itp. Warto obejrzeć się za przyczyną przejścia wyrazu KOLEŻENSTWO ze znaczenia abstrakcyjnego na znaczenie zbiorowe.

Trzeba pamiętać, że każde zjawisko językowe, nawet nowe, nie zachodzi w izolacji, w oderwaniu od życia i zjawisk podobnych w języku; jest ono zawsze czymś umotywowane. Nie może być inaczej z inkryminowanym KOLEŻENSTWEM. Podobnie było z NAUCZYCIELSTWEM. Wyraz ten oznaczał dawniej tylko „trudnienie się uczeniem, nauczaniem”, a dzisiaj — choćby w nazwie związku: ZWIĄZEK NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO — jest nazwą zbiorową ogółu nauczycieli.

Jest rzeczą niemal pewną, że właśnie w przesunięciu znaczenia wyrazu NAUCZYCIELSTWO ze sfery abstrakcyjnej na sferę zbiorowości, znaczenie KOLEŻENSTWO = koleżanki i koleżdy znalazło oparcie. Bezpośrednią przyczyną tego przesunięcia była niewątpliwie ekonomia jego użycia. Jeden wyraz zwarty zastępuje kilkopiętne wyrażenie szeregowo „Ko-

leżanki i koleżdy”.

W dodatku zwracający się tak do zgromadzonych na sali mówca, chce użyć przy tym czasownika PROSZĘ, stawał wobec dylematu gramatycznego, jak powiedzieć: „Proszę KOLEŻANKI I KOLEGÓW”, czy też: „Proszę KOLEŻANEK I KOLEGÓW”.

Czy zjawisko jest zgodne z tendencjami rozwojowymi polszczyzny? Niewątpliwie tak, bo w przeszłości mamy liczne przykłady przemianowania przez wyrazy o znaczeniu umysłowym funkcji wyrazów zbiorowych. Tak na przykład

Rozmowy o języku

u Kochanowskiego zdanie „Nie wiodę TOWARZYSTWA z ludźmi wszetecznymi” zawiera wyraz TOWARZYSTWO w znaczeniu oderwanym, ale w XVIII-wiecznym Monitorze czytamy już jego zbiorowe znaczenie: „TOWARZYSTWA husarskiego, pancernego znaku”. Podobnie rozdzielił się znaczeniowo wyraz OBYWATELSTWO. Gdy jeszcze w „Gazecie Narodowej” w r. 1791 czytamy: „W szredniej mieszkanców klasie znajdują się umiarkowanie, OBYWATELSTWO (= patriotyzm) i inne cnoty”, to np. u Kołłątaja, także w w. XVIII, wyraz ten użyty jest w znaczeniu zbiorowym: „Poseł od swojego województwa powaga mówi do OBYWATELSTWA” (= obywateli).

Tak więc KOLEŻENSTWO w znaczeniu „ogół kolegów i koleżanek” ma swoich poprzedników i posiada duży walor praktyczny. Pretensje estetyczne z postawy uczelowej (że to niby brzmi nieładnie) nie zdają się tu przekonywać. Należy zresztą wątpić, czy wyraz w omawianym nowym (nowym nie nowym, co najmniej od 30 lat) znaczeniu, rozpowszechniony wśród NAUCZYCIELSTWA da się usunąć. Nie widać po temu zresztą potrzeby.

S. RECZEK